

Pochodzę z kresów wschodnich i tam przeżyłam do 7 roku życia. Pochodzę z rodziny inteligenckiej, ojciec był policjantem. Jak wybuchła wojna tzn. wojna bolszewicka bo Rosjanie wkroczyli 17 września. Pamiętam dokładnie ten dzień, bo to był taki rumor straszny, te czołgi jak szły to dosłownie nam się wydawało, że dom przewraca się do góry nogami. A tym bardziej, że my byłyśmy wówczas w domu same, same dzieci, bo mama pojechała po brata do Wilna, bo brat uczył się w Wilnie, żeby go zabrać 15-tego wyjechała bo już było wiadomo, że coś... No ale niestety nie zdążyła wrócić na 17-tego, a 17-tego wkroczyli Rosjanie no i od razu widzieliśmy te kilka czołgów, my dzieci oglądaliśmy przez okno to było coś strasznego i raptem słyszymy walenie kolbami do drzwi. A my mieszkaliśmy także przez korytarz mogliśmy wejść na posterunek, bo ojciec był zastępcą komendanta na posterunku i dosłownie mogliśmy wchodzić osobnymi drzwiami i przez korytarz na posterunek. I te uderzenie kolb było okropne mimo tego, że drzwi były otwarte, oni widocznie nie wiedzieli, że to... Wreszcie weszli, kilku ich tam weszło na posterunek i ja tylko słyszałam strzały, bardzo się wystraszyłam więc przez nasze mieszkanie pobiegłam, że tam ojca znajdę, ojca nie znalazłam, a oni tu strzelali do dostojników i godła polskiego, do dostojników. Ja z tego strachu schowałam się za kotarę i widocznie ta kotara się poruszyła, bo któryś tam z tych ruskich chciał strzelić ale drugi zauważył i mówi: "nie strielaj - riebionek". Ja po rusku już jako dziecko rozumiałam trochę ponieważ tam byli białorusini, mieszkali na tym terenie więc trochę... I tym cudem uchroniłam się. No i wreszcie wyskoczyłam, nigdzie ojca nie było, weszłam do domu, a w domu to mieliśmy nianię ale niania była zajęta bo paliła jeszcze ojca wszystkie papiery, bo ojciec tam przynosił z posterunku, żeby spalić żeby się nie dostały w ich ręce. Wreszcie słyszymy do nas rumot, do mieszkania, zrywali schody, bo szukali amunicji więc my nie mogliśmy już ani z domu, byliśmy uziemieni, żeby nawet wyjść z domu. Po prawej stronie jak były okna więc tam był wgląd na podwórko. Podwórko było olbrzymie, bo to podwórko było policyjne, jednocześnie tam ćwiczenia były itd. Po chwili widzimy jak wyprowadzają ojca. Wyprowadzili ojca no i pierwsze co, to jest, zrzucili z głowy czapkę, zerwali dystynkcje, podeptali, ojca w kajdany zakuli. Ojciec nam tylko wzrokiem uśmiechnął się i dał znać, że żegna nas. I to było nasze ostatnie, ostatnie widzenie, nie widzieliśmy, nie wiemy co się stało, wyprowadzili. Więc nie było matki, byłyśmy same, byliśmy bo miałam brata i dwie siostry. Starszą siostrę, starszego brata i siostrzyczka najmłodsza miała roczek dopiero. Po dwóch dniach wróciła mama, nie mogła wcześniej wrócić, bo tam pociągi były załadowane wojskiem, wróciła po dwóch dniach, nie mogła się dostać do domu, po drabinie, tam sąsiedzi przynieśli drabinę i po drabinie wdrapała się do domu, do mieszkania. Więc rozpacz, jak to wiadomo ludzie są tylko ludźmi, zaczęli tam mamie mówić, że ojca rozstrzelali w lesie więc mama poszła tam grobu szukać nie znalazła, znaczy świeżą ziemię, nie znalazła nic, no po miesiącu otrzymaliśmy wiadomość z Ostaszkowa. Ojciec pisze, że jest w Ostaszkowie, prosił, żeby przysłać ciepłą odzież, bo go zabrali tak jak stoi, to był wrzesień, było zimno i tylko kilka słów mama to co nam przeczytała, prosiła na wszystkie świętości, żeby mama kształciła dzieci. Żeby jednego dopilnowała.

Z tym, że u nas to było w rodzinie, że rodzice byli bardzo tacy, zajmowali się nami od początku. Wiem, że jak się rodziło tylko dziecko, to zakładało się książeczkę oszczędnościową na cel kształcenia, nie wiem dlaczego ojciec tak to bardzo cenił właśnie, żeby uczyć dzieci. Nawet to może śmieszne ale już było z góry ustalone tzn. ojciec tak patrzył jakie kto ma zdolności, że brat najstarszy będzie lotnikiem, siostra starsza nauczycielką a ja lekarzem bo wszystkie lalki prućam i zszywałam. No najmłodsza nie, bo miała roczek.

Więc wróciła mama. Nasze mieszkanie zaraz sprowadzili do naszego mieszkania NKWDzistów, nas zostawili w dwóch pokojach, oni zajęli dwa pokoje. Ale to trwało krótko, bo za ciasno im było i nas wogóle wyrzucili z mieszkania tego na peryferie. Tzn. wyrzucili, kazali nam się wyprowadzać i koniec. Wyrzucili część naszych mebli, część zostawili. I wzięła nas jakaś starsza pani na peryferie. Mieszkaliśmy na peryferiach. Z tym, że z tych NKWDzistów, jak myśmy tam mieszkali, parę miesięcy to ja pamiętam, że jeden taki NKWDzista przychodził do mamy i często rozmawiał z mamą. Rozmawiał, on był Gruzinem, i on nie był jakoby taki zły. Bo on nam nawet czasami ze swojego przydziału coś tam dawał, bo to już były takie warunki dosyć ciężkie później. No mówił, że zostawił też tam żonę i dzieci, więc rozumiał. No ale niestety, musieliśmy się wyprowadzić, mieszkaliśmy tam i on pewnego dnia przyszedł i mamę uprzedził. Mówi, że będą wywozili na Sybir. Żony oficerów będą wywożone na Sybir i jeżeli cokolwiek może zrobić, to żeby. Ale nie było mowy, żeby coś zrobić, bo gdyby była mniejsza rodzina to byli kurierzy, którzy przeprowadzali na granicę zachodnią, rodziny oficerów szczególnie, policjantów i oficerów. Tutaj nie było mowy bo oni mogli to zrobić ale tak, najpierw dwójka później trójka. Mama mówi, rozłączą dzieci... No i cóż. Tak żyliśmy aż przyszedł kwiecień. Przyszedł kwiecień, to było 13 kwietnia, data pamiętna dla mnie bardzo. Normalnie spaliśmy jak gdyby nigdy nic i nagle kołatanie do drzwi też, w nocy, to było w nocy tzn. nie wiem która to była godzina, dla mnie to była noc bo było ciemno, pamiętam, że było ciemno. Straszne kołatanie do drzwi. Mama wychodzi i myśmy się pobudzili, powyskakiwaliśmy z łóżek, mama wychodzi, pyta się, więc "adkrojcie", żeby otworzyć drzwi. Co się stało, co tego, mama już wiedziała, już przedtem suszyła suchary, przygotowywała się bo sądziliśmy, że to musi nastąpić. "Pajedziecie do męża", do męża pojedziecie, no wiadomo jak to ... Kazali nam się spakować, mama pyta, co może zabrać? Możecie rzeczy, odzież zabrać, jedzenie to tego. Więc sporo mama tam wzięła, miała kilka worków sucharów nasuszonych, trochę jedzenia, ubrań dużo. Zabrali nas, takimi bryczkami przyjeżdżali. Załadowali i na stację. Przywieźli nas tam na stację, już było sporo ludzi i stało o dziwo 13 wagonów towarowych. Ja nie liczyłam tego tylko słyszałam. słowo 13 i tylko pamiętam te wagony. Wagony były takie jak przewozi się bydło, z tym, że tam było po jednym okienku z jednej strony i z drugiej, po malutkim okienku zakratowanym. Do tych wagonów nas wpakowali, my zajęliśmy miejsce na "piętrze", bo to było tak: jak się wchodziło to po jednej stronie były dwie prycze i po drugiej stronie prycze. Zajęliśmy na górze, jeszcze mama była zadowolona, mówi, że nie będzie nam tam tak źle. Ale niestety później jak zaczęli dowozić, to

wyszło tak, że było nas jak śledzi w beczce. Było tak ciasno, były małe dzieci, więc zaduch, płacz, odór niesamowity, bo przecież dzieci się moczyły, brudziły, no u nas też przecież była siostrzyczka, która miała roczek. Co tam pomógł nocnik, wiadomo jak jest ani wyprać. Ale staliśmy na dworcu, jak nas przywieźli w nocy no to już było tak nad ranem to staliśmy do wieczora. Pamiętam, że chłopci z bliskich wiosek przywozili nam chleb taki jeszcze ciepły, bocheny chleba na drogę i mleka dla dzieci. Tyle żeby tam dzieci wypily bo już tam nic nie mieliśmy gorącego, już nam nic nie podali przez cały dzień. Wyruszyliśmy wieczorem. Kazali nam wsiadać już wszyscy do wagonu i że pociąg odjeżdża. Wszyscy zaczęli śpiewać "Jeszcze Polska nie zginęła". Ja jako dziecko umiałam już tą melodię, bo zaczęłam już chodzić do I klasy, to było tak jakby chór specjalnie, poprostu tak głośno no więc szybko wagony zasuwami pozamykali i pociąg ruszył. Ci co zostali żegnali, płaczu było bardzo wiele. Ruszyliśmy. I tu się zaczął koszmar. Ta podróż trwała w nieskończoność. Pociąg zatrzymywał się przeważnie nocami. W dzień nam się wydawało, że on jedzie wolno, bo tak tylko tu tu, tu tu, jak to towarowy, tam gdzie się zatrzymał trochę ale nie otwierali nam także myśmy wogóle tylko dusiliśmy się w tych, każdy się pchał do tego okienka zobaczyć, natomiast wypuszczaliśmy nas przeważnie wieczorem, przeważnie raz. Żadko się zdarzało, żebyśmy się zatrzymywali dwa razy, żeby nas wypuścić za potrzebą własną. No więc przeważnie wieczorem pociąg się zatrzymywał i wówczas przynoszono nam "kipiatok" jak oni nazywali wodę gotowaną. Gorącą, ciepłą, różnie jak się udało, ciepłą wodę do picia. Każdy w coś tam brał tą wodę, żeby namoczyć suchary, bo jedzenia nam nie podawano. Przez kilka dni nam wogóle nie podawano, a później podawano taką polewkę jakąś tam, jakąś zupę dawali. Więc każdy raczej jadł, to co miał ze sobą, a czasami się zdarzało, że był postój dłuższy i to pamiętam jak ludzie rozpalali. stawiali takie dwa kamienie, czy dwie cegły i na oczekaniu rozpalali ogień, jakiś tam garnuszek stawiali, żeby coś ugotować głównie dla małych dzieci. Tak przetrwaliliśmy te 30 dni tzn. my nasza rodzina przetrwała. Z naszego wagonu wiem, że wynieśli trzy osoby, trzy osoby, które zmarły tzn. dwoje małych dzieci i jedna osoba starsza, niedoczekali tego. Nawet wiem, że tam była rozpacz, bo matka nawet nie wiedziała, że to dziecko zmarło, już po prostu chyba się udusiło. My dojechaliliśmy do mety. Jak ta miejscowość się nazywała nawet nie odpowiem bo w tej miejscowości, do której nas przywieźli to myśmy byli zaledwie kilka godzin. Normalnie przyjechaliliśmy, to była stacja docelowa. Kazali nam wysiadać, zabierać rzeczy, po prostu wyładowali nas. Z tym, że już z rzeczami nie było tak, że mogliśmy wszystko zabrać, to oni już zrobili kilka czemadanów jak to oni nazywali, kilka pakunków nam dali a resztę odrzucali na bok, to co dla nich niby, nawet nie zaglądali do środka tylko widocznie to co lepiej wyglądało, może ładniejsze były walizki czy tego, tak że ja już wiem, że jak...aha do czego muszę wrócić. Jak nas tam kazali nam wsiadać to nie było jakiegoś, że gdzieś jest zakwaterowanie, czy gdzieś mamy iść, to już ich nie obchodziło. Wyrzucili i koniec. Pamiętam, że siedzieliśmy na tej stacji i mama płakała, a my jak to dzieci rozglądaliśmy się, ten krajobraz dziwny, jakoś inny. I wreszcie zaczęły przyjeżdżać wózkami

takimi ludziami, cywilnie, normalnie, to byli tubylcy, którzy tam mieszkali. I oni wiedzieli, że przyjedzie taki transport więc nie wiem czy dla chęci zysku, bo oni to nazywali, że przyjeżdżają burżuje, że bogacze, czy z litości, zabierali, po prostu zabierali rodziny do siebie. I ktoś tam nas zabrał. Pamiętam, że nas przywieźli pod taką chatkę, ogrodzone, nie byliśmy w mieszkaniu tylko na podwórzu była zrobiona kuchnia taka, tzn. wybudowane takie palenisko coś takiego i tam gotowała się woda. Zrobili herbaty, dali nam do napicia herbatę, rozmowy tam wielkiej nie było, bo może tam mama coś rozmawiała, ja nie pamiętam, jako dziecko tylko wiem, że to trwało jakiś czas, my byliśmy bardzo głodni więc dostaliśmy po jakimś kawałku chleba i po kawałku słoniny. I to trwało może godzinę, może trochę więcej. Wreszcie podjechał samochód, taki jakiś zdzelowany grat i na wojskowy podobny ale pamiętam, że miał okienka i te okienka były zakratowane. Podjechał samochód, wyskoczyło tam kilku wojaków, w każdym razie nie wiem czy to wojskowi czy to inne, jakies mieli na sobie mundury i od razu pytają: "czy grażdanka Gałęziowska?", mama mówi "tak", "no to sadić". Mama mówi: "dokąd?, jak? co?" mówią: "w tiurmu", do więzienia. Więc była zaszokowana, nie wiedziała ani wogóle co ma robić i zabrali nas stamtąd. Do tego samochodu wstawiali, mama strasznie płakała, bo wiedziała już "co się święci", całą drogę płakała i myśmy płakali. Jak długo jechaliśmy nie pamiętam, kilka godzin. Dojechaliśmy do pewnej miejscowości też nie wiem do jakiej i jak się nazywała w każdym razie była szarówka, wysadzili nas z tego samochodu i wprowadzili do jakiegoś budynku. W tym budynku już mamę wzięli osobno, do innej klitki tam jakiejś, a nas do innej. Była tam tylko słoma, tam gdzie nas wpakowali, sądzę, że tam gdzie mamę też. My strasznie płakaliśmy, na tej słomie siedzieliśmy, pamiętam, że myszy biegały. Okropnie baliśmy się myszy, bo dla nas zjawisko było no niespotykane. Płakaliśmy bardzo i mama cały czas przez ścianę do nas stukała i błagała, żebyśmy się nie bali, że to tylko małe myszki, że to, że tego. No i nas tak uspokajała przez tą ścianę, cały czas nas uspokajała do rana. Słysząc było "dzieci nie płaczcie, dzieci nie płaczcie" a do brata mówi: "opowiadaj im bajki, zajmij się Krysią" bo Krystyna miała roczek tylko. I my widocznie z tego wszystkiego zasnęliśmy jakoś jako tam. Wiem, że rano usłyszeliśmy takie stukanie jakies, a to mama stukała bo już ją mieli zabierać, więc stukała, żeby się z nami pożegnać, a jak myśmy wyjeżdżali to tam były takie małe okienka, więc widzieliśmy jak mamę z kolei wyprowadzali już skutą, już skutą wyprowadzili. Nawet nie pozwolili nam się pożegnać. Dosłownie ludzie, którzy tam pracowali to byli widocznie bez serca, bez żadnych uczuć. Wyprowadzili, wsadzili do jakiegoś tam tego i odjechali. Odjechali i po jakimś czasie przyszła do nas jakaś kobieta, przyniosła nam tam coś do jedzenia, nie pamiętam co, coś nam tam przyniosła w garnuszku do jedzenia, no i zabrali nas tam. Zabrali nas tam do jakiegoś pomieszczenia, rozmawiali między sobą dłuższy czas, wreszcie postanowili, że pojedziemy do "dzietdomu" tzn. do domu dziecka. Z tym, że brata wzięli już do ~~szkoły~~ <sup>kołchozu</sup>, do pracy. Brata wzięli do pracy, brat miał 14 lat, brata wzięli do pracy a nas do domu dziecka "dzietdom" nazywał się.

Z tym, że o dziwo przyjechał jakiś tam samochód, zabrał siostrę, potem zabrali mnie, oddzielnie. Krysię zostawili, tam ktoś tego, gdzie, nie wiedzieliśmy, każdego gdzie indziej także nas absolutnie rozdzielili. Nie wiedzieliśmy o sobie nic. Przywieźli mnie tam do jakiegoś budynku, pamiętam to nie była ziemianka to był barak coś takiego, wprowadzili. To było takie pomieszczenie jak można powiedzieć, takie długie jak stodoła z tym, że niskie. Wiem, że była podłoga, to nie była posadzka, była podłoga taka jakaś drewniana. Dlaczego pamiętam tą podłogę? Bo nam kazali szorować, myć tą podłogę. I korytarz też był taki długi, z tym, że nic nie było deski jakies takie, wiem, że jak się myło tą podłogę to drzazgi często do rąk wchodziły. Przywieźli mnie do tego domu dziecka, zobaczyłam te dzieci, byłam przerażona, bo tam byli i Kozacy i Kirkizi skośnooki to dla nas było, nie widzieliśmy takich; i Czyczeni więc różni no i Polacy, już tam było, już zaczęli zwozić Polaków, także już byli Polacy. Dali mi tam jakieś miejsce na pryczy, były takie prycze ustawione na tej sali, że dzieci tak pod okiem. Z tym, że z nami się nie "patyczkowało", nikt nie uśmiechnął się, <sup>tam nas nie</sup> wziął za rękę, tylko normalnie. Pierwsze, cośmy słyszeli to: "polskie świnie" dosłownie. Gdzie się nie ruszyliśmy <sup>szczególnie</sup> "burzuje, polskie świnie" więc nas Polaków traktowali chyba najgorzej, lepiej traktowali Czyczenów, lepiej traktowali Kozaków, Kirkizów, a nas to naprawdę najgorzej. To nie dlatego, że mnie się to wydawało ale naprawdę. Powiem taki jeden jedyny przykład, który właśnie daje wszystko. To było zwycięstwo pod Stalingradem chyba, nie wiem jakieś tam zwycięstwo, bo był wielki szum. I ktoś tam dostarczył skrzynkę jabłek czy ileś tam. Więc dzielili te jabłka, po ćwiarteczce dla każdego, więc wszyscy dostali/ale Polacy nie. Myśmy też się ustawili w kolejce ale dla nas nie było, absolutnie, usłyszeliśmy wtedy, że "polskie świnie" i nie tego. Tak samo z wyżywieniem, z jedzeniem było to. Raczej dostawaliśmy najmniejsze porcje, naj, naj, najgorzej. Tam gdzie ja byłam to nas było 32 osoby, trzydzieści dwoje dzieci. W tym domu dziecka, gdzie ja byłam, z tym, że było w wieku różnym od 6 tam było do 10 lat, w takim przedziale. No i myśmy się tam, to nie był dom dziecka, że myśmy się tam bawili, to był, tak jakby był, ja wiem, przymusowy dom pracy. My już o godzinie szóstej, nas wywozili latem na pola i szczególnie co, podlewaliśmy arbuzy, więc te co my tutaj, tam się nazywały "kałuny", te czerwone arbuzy co my nieraz tu widzimy oraz dynie takie tam melony. I my to musieliśmy podlewać. To były olbrzymie pałacie tego, więc nosić wodę, podlewać. To było coś niesamowitego, po dwa wiadra wody musieliśmy nosić. Nogi mieliśmy poobijane, bo to takie dziecko nosiło tą wodę. Byliśmy bardzo głodni do tego, bo jedzenie było makabryczne przecież dawali nam dwa razy dziennie ale chleba to prawie nie było. Jakies tam zupki, jakieś kartofle w łupinach, to było bardzo dobrze, jak było, czarną gorzką kawę, także jedzenia, nie wiedzieliśmy, co to jest chleb posmarowany czy tym podobne. Absolutnie. Więc to była ta praca, podlewanie ogrodów, następna praca to było plewienie, musieliśmy te wszystkie chwasty wyrwać. Także wyjeżdżaliśmy o szóstej, bez jedzenia, tam nam na polu przywozili coś tam do picia, czarną jakąś kawę czy tam lurę, czy ugotowany ziemniak dostawaliśmy, na obiad też, to przeważnie na obiad też jakaś tam lura i wracaliśmy dopiero

o godzinie 18<sup>00</sup>. Wtenczas jeszcze apel musiał być, musieliśmy śpiewać wyuczone hymny sowieckie, no i gimnastyka obowiązkowa i wtenczas już do pomieszczeń, z tym, że dla nas Polaków nie zawsze się to kończyło tak, bo właśnie dla nas było sprzątanie. Przymusowo musieliśmy szorować podłogi, to już mówiłam, tam było tych pomieszczeń kilka i te korytarze i ta kuchnia i to była pamiętam makabra, my nie potrafiliśmy, to nie jest, wydawałoby się, że myć podłogę to jest prosta rzecz, a to była sztuka, nie można było tak namoczyć i myć. Ile myśmy ciągów otrzymywaliśmy póki nie nauczyliśmy się myć podłogi bo to trzeba było jakoś tam zawijać, tą wodę wycierać, tą szczotką szorować także, no i tą zimną wodę musieliśmy szorować. I w tym domu dziecka byłam trzy lata. A życie się toczyło dzień za dniem tak jak, codziennie trzeba było coś robić. Zimą też nam pomimo, że nie było pola, nie było tego to nam kazali w śniegu chodzić i piołun, bo tam nie lasów, nie było drzewa, gdzie myśmy byli, to była taka pustynia, to było zupełnie jak pustynia, tam nie rosło żadne drzewko ani owocowe ani drzewo takie, tam rósł tylko piołun, tam nie było rzek, nie było jezior, tam były tylko jeziora słone. Więc latem jak wysychało to jezioro, to się zbierało sól. Nas ganiłi do zrywania piołunu po mrozie, bo ten piołun był suchy i tym paliło się. Więc chodziliśmy i takie wiązki się wiązało i trzeba było na plecach przynosić. Zawsze jakąś pracę dla nas znaleźli. Żebyśmy się tylko nie... Ubranie to było, jedyne ubranie to były tak jak kufajki, "wojłoki" to były takie "wojłoki", których u nas się nigdy nie nosiło, bo u nas jak się wojłok nosiło nawet na wschodzie to był z kaloszem, a tam były wojłoki wyrabiane, grube i od razu taka gruba podeszwa, w tym się chodziło, tam były mrozy niesamowite, bo tam były mrozy 40<sup>0C</sup>, a latem upał 30<sup>0C</sup>, krótkie lato, długie zimy, z tym, że mrozy tam były bardzo duże ale suche. Dlatego można było wytrzymać tzn. trzeba było się opatulać, bo się odmroziło nos, odmroziło się wogóle nogi ale suche było. Z tym, że były okresy "buranu" tzw. "buran", śnieg wiał, były tak duże zasy, że zasypywało całe karawany wołów, bo tam koni nie było, raczej wołami... Jak szła taka karawana, coś przewozili, to jakieś tam, żywność, zboże czy tego, to czasami całą karawanę śnieg zasypał, bo zasypał drogi i gdzieś... To był straszny ten wiejący śnieg, to masę było wypadków, że ludzi zasypał, bo stracił drogę i zasypał, nie wiedział jak iść i zamarznął. Bo przecież 40 stopni to było. No i w tej gehennie przeżyłam trzy lata. W 43 roku, w 42 roku, już jak zaczęła się tworzyć armia Andersa, jak już tam były jakieś porozumienia ze Związkiem Radzieckim, została ogłoszona amnestia, w końcu 42 roku, ale mamę wypuścili dopiero w 43 roku, jak już się tworzyła armia kościuszkowska, więc mama wyszła z więzienia, aha jeszcze nie nadmieniłam, że mama dostała wyrok 10 lat więzienia, Tam nie było jakiegoś, no zarzutów, jeden zarzut - żona oficera i to wszyscy tak jak słowa mamy, że "wszyscy dostawali po 10 lat bez reszty" jak to mówią "zaczy nie nada" oni tak powtarzali, czyli 10 lat więzienia dostawali wszyscy. Więc mama wróciła z więzienia w 43 roku, no i przeżyła, jakoby bardzo dużo Polek zginęło, to nam już mówiła, że przeżyła tylko dzięki temu, że jak ją zabrali, ona miała w płaszczu zaszyte złoto i przekupiła tych strażników, że ją wzięli do pracy do ogrodów, więc mogła tam coś zjeść. I mówi

tym sposobem. Ale wracając do tego, jak mama wyszła z więzienia. Więc zaczęła nas poszukiwać, nie wiedziała, nikt nie wiedział, gdzie, tam specjalnie, nie powiedzieli co się z nami stało. Zaczęła nas poszukiwać, najpierw znalazła brata, bo brat pracował, ściągnęła tego brata. Aha, jak wróciła z więzienia to ją skierowali do pracy do kołchozu Gałkino, to już wiedziałam, bo myśmy tam później mieszkali, do Gałkina. To jak mama najpierw z więzienia pojechała do tego Gałkina, do tego kołchozu, do pracy, tam zamieszkała w ziemlance, bo tam dużo Polaków wywozili, i zaczęła szukać dzieci, więc odnalazła brata, przywiozła brata, już brat tam pracował w tym kołchozie, zaczęła nas szukać. Zaczęła nas szukać przez Czerwony Krzyż no i pomogli. Znalazła mnie, przyjechała po mnie, to była chwila, ja nie wiedziałam, bo listów nie otrzymywaliśmy, nic. Przyjechała mama po mnie, już porozumiała się z kim trzeba, wchodzi, a ta cała ta kierowniczką tego domu dziecka, mówi, że "twoja mama przyjechała. Wchodzi jakaś kobieta, ja patrzę jakaś starsza kobieta weszła, czarna taka, brzydka i mama nie wiedziała, które to, pamiętam myśmy stali przy takim dużym, żelaznym piecu, bo to był jedyny taki duży piec, na sali, żelazny, blaszany właściwie, i tam grzaliśmy się. To było zimą. Wszystko jak muchy, bo jedynie tam trochę ciepła. I ja stoję przy tym piecu, patrzę, mama od razu poznała, mama swoje dziecko pozna mimo tego. Poznała. Ja mówię, że i tam, no nie wiem, co już mówiła do mnie, nie pamiętam dokładnie, w każdym bądź razie ja mówię do mamy, że to nie jest moja mama. Ale ja już ten język, już mówiłam raczej makaronizmem, po polsku i po rusku. Ja mówię: "to nie jest moja mama, moja mama w tiurmie", że moja mama jest w więzieniu, to nie jest, a "moja mama była krasiwaja" czyli moja mama była ładna, a "ty jesteś stara i brzydka". I tak skwitowałam matkę no po prostu nie poznałam no inna mama była tak od tego mrozu i od tego słońca spalona, że była kompletnie, no wyglądała na lat 50 a była trzydziesto-paro-letnią kobietą, śliczną przecież zresztą. No ale później mama usiadła koło mnie, zaczęła rozmawiać, opowiadać. I zaczęła mi przypominać te wszystkie tego no i zaczęła mi tą kołysankę i dopiero ja przytuliłam się, że to jest i mówię: "mamo, dlaczego taka brzydka jesteś, byłaś taka ładna", no i mama zaczęła mi właśnie tłumaczyć, że ciężko musiała pracować, że dobrze, że przeżyła, że nadal będzie ładna, że przyjechała po mnie, ale z tym, że mówi, "wiesz dziecko, zabiorę cię, ale będzie bardzo ciężko, patrz mama przyjechała i nie ma dla ciebie ani kawałeczka chleba" no bo nie miała nic. No i zabrała mnie. Pamiętam że przyjechała z jakimś gościem, z jakimś tam kołchoźnikiem, który okazał tyle serca, że wołami przyjechał tam po mnie i zabrał mnie na te woły. To była zima. Było bardzo zimno, opatulił mnie tam czymś, jechaliśmy tym wozem, tymi saniami i tak, że ja tam zamarzałam, zamarzałam i co chwila mama łudziła i ten właśnie gość mówi, że "nie, musimy się gdzieś zatrzymać bo ona zamarznie na śmierć" bo ja już nie odzywałam się. No i tam do jakiejś zagrody przyjechaliśmy i tam przenocowaliśmy. To musiało być dosyć daleko, przenocowaliśmy, tam nam dali coś wypić, dla mnie dali mleka, pamiętam jakiegoś tam wypić no i rano w tą podróż, ruszyliśmy w dalszą podróż. Aha i on jeszcze nie tylko to, że mróz ale że tam wilki, tam bardzo atakowali wilki. Ruszyliśmy w dalszą drogę, przyjechaliśmy do tego

kołchozu do Gałkina. Więc to był też szok taki bo to była lepianka, normalnie ziemiarka, się wchodziło tak jak się wchodzi, jak na wsiach czasami są te piwnice, te które są w podwórkach, gospodarskie takie w podwórkach, takie są piwnice zimne, więc też tak się wchodziło i tam było tylko takie na zewnątrz, małe okienko. Było klepisko, normalne klepisko. Zimnica niesamowita, na ścianach można było śnieg drapać. Paliko się, więc tam się paliko "kiziaki", nazywało się to "kiziaki" zaraz wytłumaczę jak to było z tymi "kiziakami". Było bardzo zimno, nie mieszkaliśmy my sami w tym mieszkaniu, bo później mama też już odnalazła siostrę jedną, odnalazła siostrę drugą. Z tym, że tą starszą siostrę to ona była ponieważ miała już 10 lat, to już była mądrzejsza, natomiast po tą najmłodszą siostrzyczkę jak pojechała, to ona ani jednego słówka nie umiała po polsku. Przecież ona miała roczek, ona urodziła się w 39 roku, no to jest maleństwo. Ona wogóle jak mama przyjechała to ani nie poznała ani nie miała, no jakiegoś, żeby poznać, no bo nie pamiętała poprostu tej matki. Przywiozła mama też tą siostrzyczkę, myśmy też nie poznali, bo to, aha tym bardziej, że trudno było do niej dotrzeć, ona miała na imię Frosia, więc wogóle imię inne no i była wogóle odwrotność tego wszystkiego bo do tego stopnia tam upodlali dzieci, tak na swój sposób, że nawet śmieszne, bo ktoś może nie uwierzyć, ale to była prawda autentyczna bo to już nie ja wiedziałam w tym domu dziecka, co była siostrzyczka, to ja tego nie widziałam ale widziałam w naszym, że to faktycznie robili, z tym, że do tych młodszych dzieci, bo mnie, ja już miałam 7 lat, ja już byłam mądrzejsza, ale te młodsze dzieci to... W jaki sposób upodlali? Raczej dzieci polskie były katolikami, wszystko byli katolicy. Ja nawet wiem, że w naszym domu to było w ten sposób, że przypuścimy przed wojną jeszcze, każdego wieczoru myśmy się modlili wspólnie z matką, klękali się i odmawiali się pacierz, nieraz człowiek zasypiał, ale trzeba było ten pacierz... Byliśmy przyzwyczajeni do tego, że trzeba było wieczorem zmówić ten paciorek, więc tam tak nas chcieli od Boga odwrócić, że dosłownie mówili, że "Boga nie ma, no gdyby był Bóg to przecież by każde wasze życzenie było spełnione, a tak to polskie świnię, my możemy zrobić z wami co chcecie!" I mówi "no dobrze jak jest Bóg to przypuścimy, poproście cukierka od Boga, czy wam da!" Takie dziecko no to tego, więc, a mówi "a poproście u Stalina" więc "Stalin, Stalin daj kanfiet" dosłownie, z góry zrucali cukierków tam parę, że tego, to było upodlenie, więc ja widziałam to na własne oczy, na tych młodszych dzieci, a tam gdzie była siostrzyczka to mama mówi, że była świadkiem tego, co robili. I to im się dużo udało, bardzo dużo się im udało, bo ja nie mówię o tym małym, którego można było przekształcić ale ja mówię po sobie. Bo jeżeli stale mi mówili, że nie ma Boga, że gdyby był Bóg to by było tak a nie inaczej, że, to ja powiedziałam sobie tak, prawda, gdyby był Bóg, to przecież czy by zabrał mi ojca, matkę? I też kiedyś pamiętam, wyszłam mówię "nie ma Boga, nie ma, a jeśli jesteś to ja Ciebie nie cierpię!" dosłownie wołałam wtedy w te słowa, mówię: "gdzie jesteś?". I wtenczas no ja do dzisiaj tego, że naprawdę nie wierzyłam, powiedziałam, że naprawdę Boga nie ma, bo to było, żeśmy się modlili ale nic nam nie pomagał, tak jak mieliśmy, jak nas poniewierali, do końca. No więc mama już nas ściągnęła teraz tam. Co dalej?



Mama zaczęła pracować w kołchozie w tym Gałkinie. Więc co tam robiła? Szczególnie Rosjanie chcieli się wyżywać na polskich kobietach, więc wysyłali ich do pracy, do orania wołami. Te żony oficerów przeważnie nie byli przyzwyczajeni do pracy wogóle. Moja mama wogóle nie pracowała przed wojną, nie miała potrzeby, w domu była gośposia czy niania do dzieci, wiem, że jedna była. Także i zajmowała się tym i zajmowała się kuchnią i nami, jak zaszła potrzeba. Mama musiała towarzyszyć ojcu na bale, na spotkania, to było takie życie. Pamiętam właśnie, jak otwierałam mamy szafę w domu, tyle sukien balowych, to wszystko, a teraz kazali taką robotę, te kobiety ani nie miały siły, ani nie mogły utrzymać tych wołów bo to trzeba było równo tymi brzdami, więc to była straszna praca. My jako dzieci chodziliśmy plewić zboże, bo tam piołun taki rósł w tych zbożach, musieliśmy to wrywać. I różne takie prace, przesypywać zboże jak było wymłócone, więc z jednej kupy przerzucać na drugą, żeby się tam nie sparzyło czy coś takiego. Za to zapłaty nie dostawaliśmy my jako dzieci, nam tam dawali jakąś strawę do zjedzenia w tym kołchozie. Natomiast mama dostawała. Dostawała tam jakąś zapłatę ale w towarze, tzn. tam parę kilo zboża na miesiąc, dosłownie parę kilo, żeby tam ktoś nie pomyślał, że to tego, parę kilo zboża albo parę kilo ziemniaków. Więc żeby przeżyć trzeba było kraść. To było jedyne wyjście. I co myśmy robili? Wracaliśmy z pracy z kołchozu to chodziliśmy w butach, w długich, gumowych, podartych czy nie podartych, w jakiś tego i wsypywało się tam, przyniosło się te pół kilograma, te pół kilograma było dużo więc na żarnach takich to były takie żarna, no wiadomo jakie to ludzie już wiedzą, tam się wsypało po garstce i to się młęło taką mąkę, zboże wychodziła taka mąka i to się gotowało, co się gotowało nazywała się "bałtucha". Na garnek wody wrzącej wsypywało się dwie garstki mąki i to było rzadsze od kleju i się jadło, żeby coś gorącego było, bo o chlebie nie było mowy. Przecież skąd? Ale to i tak było wspaniałe życie w tym kołchozie. Było wspaniałe bo od czasu do czasu był ziemniak, od czasu do czasu było trochę właśnie ukradzionej tej pszenicy i można było jakoś, jakoś przeżyć. Z tym, że mamie zaczęły absolutnie opadać siły. Ona już w tym kołchozie, tymi wołami nie mogła pracować. Zaczęła chorować. Moja starsza siostra zaczęła chorować na gruźlicę. I mama stwierdziła, że musi uciekać z kołchozu, bo inaczej ona się wykończy, a jak wykończy się ona to i koniec z dziećmi. A jeszcze wracając do kołchozu, tam było bardzo dużo żmij, tam było tak niesamowicie dużo żmij, że dosłownie jak na tej pszenicy, przesypywaliśmy tą pszenicę z jednej kupy na drugą, to te żmije się tam ogrzewały na tych tego, także to było straszne, to było po prostu strach podejść, czasami ja myśmy właśnie, chodziliśmy plewić to zboże, to nachyliło się i żmija tak syczała tylko, podejmowała się, jakie to my skręcone wtedy podejmowała się, żeb podejmowała i syczała, więc było tego. No i nie wiem jakim sposobem mama załatwiła, że uciekła po prostu z kołchozu do miasteczka, które się nazywało Szczerbaktów. W tym kołchozie pracowała niecały rok, do Szczerbaktów. Może mamie pomogło co nieco, że była naprawdę inteligentną i ładną kobietą, to też, z tym, że nigdy nie zauważyliśmy, żeby mama flirtowała z kimkolwiek, mama naprawdę jak kwoką się opiekowała nami, pilnowała nas.

Przenieśliśmy się do Szczerbaktów, to było miasteczko, miasteczko, województwo Pawłodar czyli obłaść Pawłodar. Wiem, że tam przechodziła koleja, tory kolejowe, pociąg przejeżdżał tamtędy. I mama zaczęła pracować w "Artieli" to jest taka spółdzielnia, gdzie się wyrabiało skarpety dla wojska, rękawice i gręplowało się wełnę, gręplowało się ręcznie to wszystko się robiło. Więc mama tam właśnie robiła na drutach, bo to na drutach się robiło, rękawice, skarpety i przędła wełnę. Na wrzecionie to się przędło. Nigdy tego nie zapomnę, jak widziałam rany na mamy palcach tutaj, bo to wełna była taka szorstka i to trzeba było tak tego i mama te rany ~~takimiż~~ takie miała, dzisiaj to widzę jak strasznie, aż krew tego, ale musiała to robić, żeby... A my, a ja tam z siostrą wełnę tą darliśmy, żeby później przuć. I za tą pracę otrzymywałam kawałek czarnego chleba, to niby było ćwierć kilo, to był taki mały kawałek, że ja jak do domu przyniosłam to nic już nie było prawie, siostra to samo, mama, a mama miesięcznie dostawała, to myśmy dostawały, a mama za miesiąc pracy dostawała wiadro, wiadro, nie na kilogramy, wiadro ziemniaków i cztery kilo mąki, to było wszystko. Brat natomiast pracował w "Artieli", w "Pimokatni" przepraszam, to mama, w "Pimokatni" i tam właśnie się robiło te "pimy, wołjoki" dla wojska, te, o których mówię. Tam właśnie brat pracował. To była praca bardzo ciężka, bo to było pomieszczenie nieduże i to w parze, bo to jest wszystko tą wełnę jakoś się wałkowało, rozwałkowywało się i z tego się wyrabiało na mokro jakoś to, ja widziałam, ponieważ nosiłam bratu jeść. Mama gotowała zawsze jakąś tam mamalygę, żeby mu tam parę ziemniaczków nawet wrzuciła, bo to była taka ciężka praca, młody chłopak i on tego. I ja nosiłam mu jeść i pamiętam, że, jak dzisiaj, że ja patrzyłam mu w oczy, żeby on mi coś zostawił z tego jedzenia jeszcze, kawałek chleba tam. To jak nieraz to już skubałam po drodze chociaż odrobinę, parę okruszynek, jadłam i zaglądałam mu w oczy czy on mi nie zostawi, a mama musiała mu więcej dać jeść, żeby on, bo on pracował bardzo ciężko. Więc było bardzo ciężko, a mieszkaliśmy też nie sami, tam mieszkaliśmy w takim baraku, w jednym pomieszczeniu ale nie było tego komfortu, że my mieszkaliśmy sami, nie, mieszkaliśmy dwie rodziny jeszcze dwóch starszych panów, którzy pracowali w mleczarni z koleji. I oni nieraz ukradli trochę ~~sera~~ sera i robili takie, nazywali to "gomułki", takie gałeczki z sera i suszyli w piecu, tam piec palili, no więc wiadomo my nieraz podkradliśmy, więc oni wiedzieli, no zginęło, no zginęło, no kto? A my nie przyznawaliśmy się, ktoś z dzieci zawsze tam z głodu ukradł. Poza tym, to było wszystko głodowe, to było po prostu wszystko głodowe, myśmy przypuścimy tam kartofli, tam nie było obierania kartofli, jak się obrało kartofli to z tych łupin myśmy robili placki, mama robiła placki z łupin od kartofli. Gotowała te łupiny, gniotła, dodawała trochę mąki lub otrąb i coś takiego robiła w ręku i kładło się na płytę kuchni i to się upiekło, no to dzisiaj jest nie do pomyślenia, żeby coś takiego zjeść i to się jadło. Ale z tej porcji, co myśmy zarabiali, to myśmy, to byśmy i tak poumierali z głodu. Więc co robiło się? Myśmy chodzili kłosa zbierać, więc tam była ta zasada, żeby nie umrzeć z głodu, zbieranie kłosów tzn. po żniwach, kombajnami tam ścinali zboże i zawsze coś tych kłosów zostało, więc wychodzili, to było gromadami wychodziliśmy, szło się, to było dobrze jak było 8-10 km ale nieraz 12 i 15, bo to było

miasteczko, po te kłosa , z workami więc worek się tego i się zbierało kłosek do kłoska, urywało się tą słomę i same te kłoski. I przynosiło się do domu, na słońcu to się suszyło, później się młóciło kijami, żeby to zboże wyszło, a jak to zboże później się te plewy odwiewało, oddzieliło, na sito się brało i sypało się, wiatr te plewy odwiewał, zostawało się zboże. I tak nieraz się przyniosło, to było dwa kilo dało się zebrać tego zboża czystego. Chodziliśmy po te kłosa. Z tym, że tych kłosów też nie pozwalano nam zbierać, to nie było to, że możemy zbierać, to mogło zgnić, bo to zgniło ale nie pozwalano więc jeździli "objeszczuki" tak nazywali się, koźmi , dosłownie jechał "objeszczuk" na koniu, taki kołchoźnik jakiś i jak zobaczył tych zbierających kłosa, to dopędzał konno, zabierał worek, wgniatał te kłosa, wysypywał, wgniatał w ziemię i worek zabierał. Więc nas to spotkało parę razy. Ja jeden raz ja nie wytrzymałam, bo już miałam pełny prawie worek, później ten worek trzeba nieść tyle kilometrów przecież, miałam prawie pełen worek, no niestety uciekałam ale cóż ja a koń. Dopędził mnie, miałam bardzo ~~dużo~~ długie blond włosy, chwycił mnie za te włosy, podniósł do góry jak szczeniaka takiego, za te włosy i zabrał mi ten worek, nie, jeszcze nie zabrał, więc jak on mnie tak podniósł do góry i później rzucił więc ja z tych nerw grudy takiego piasku, to ziemia w takie grudy, rzuciłam mu w oczy, więc on tak z tej wściekłości to mnie batem, do dzisiaj mam znak na kolanie, rozciął mi całą nogę tym baciorem no i zabrał worek i te kłosa wgniół i wróciliśmy z płaczem bez niczego do domu. Więc bardzo dużo było właśnie takich wypadków, że nam to zabierano. Chodziliśmy ponadto przekopywać ziemniaki, tzn. po wykopaniu ziemniaków, to już przecież nie było nic, ale my jeszcze przekopywaliśmy tą ziemię i nieraz się znalazło tych parę ziemniaków. Ale to wszystko trzeba było robić ukradkiem. No i tak jak mówię, siostra chorowała na gruźlicę już. Później myśmy wszyscy pochorowali się na tyfus. Więc mama sądziła, że to już koniec. Gdzieś nas wiozła, pamiętam, saniami wiozła nas do jakiegoś tam znachora nie znachora. Do "balnicy" jakiejś, jakiś szpital taki przy tego. Przywiozła nas tam, ja pamiętam, musiałam mieć straszną gorączkę, bo mi się stale wydawało, że jakieś myszy po mnie skaczą, po tego, więc przywiozła nas tam , zajął się tam jakiś felczer nami, ja wiem, że włosy mieli ścinać, ja miałam takie długie, kręcone właśnie jak mówię blond włosy i on tak żałował tych włosów, żeby nie ścinać, że może jakoś się uchroni ale niestety musieli ścinać nam włosy do tego no ale jakoś ja mówię Bóg widocznie czuwał nad nami, że uratowaliśmy się, no wyszliśmy z tego. Wyszliśmy z tego, wróciliśmy znowu, zziębnięci, w tym domu tak jak mówiłam trzeba było drapać śnieg ze ścian. Poza tym jak były te "burany" to zawiewało, że myśmy nie wiedzieli czy to dzień czy to noc, jeden drugiego musiał odkopywać. Chodziliśmy ubrani, z wełny, którą mama przędła, to porobiliśmy na drutach takie ubrania, tzn spódnice i te bluzy i w tym się chodziło tylko w tym. Jak się prało, prało, to się nie prało, to się wkładało do wrzątku, żeby wszy, po prostu wszy były tak duże, że ja dzisiaj widzę te wszy w tych wszystkich przegubach, bo przecież my nie mieliśmy mydła, praliśmy to popiołem. Popiół gotowało się i w tym się prało. Więc to, nie było halek, nie było majteczek nie było nic z tych rzeczy, wogóle trudno to sobie wyobrazić. I co nas później trochę uratowało od śmierci głodowej, bo ludzie

już zaczęli umierać z głodu, Polaków. Ja widziałam sama na własne oczy paru Polaków, którzy umarli z głodu. Ja sobie nie wyobrażałam, nie wiedziałam co to jest, widziałam spuchnięte, to jest człowiek się robił jak balon, dosłownie puchł, nogi cienkie, ręce cienkie a brzuch, członek, olbrzymi. Czyli to jest głód i zatrucie, bo jak się jadło te łupiny, to jednocześnie ta trucizna działała i głód i ludzie jak muchy padały. Ja, tak jak mama później twierdziła, że ja ich uchroniłam od zagłady głodowej, byłam bardzo sprytna. Tam koło nas, gdzie myśmy mieszkali, tam przechodziła główna trasa, którą wozili zboże do MTS-u, znaczy tam był MTS i tam były zakłady zbożowe. I właśnie te wszystkie z kołchozu zboże przewozili tą trasą, a wozili otwartymi takimi korytami, taki wóz jak koryto, i to było nie w workach tylko normalnie tak nasypywane i to wieźli. Więc to wołami, więc jechało takich 10 od razu może takich wozów i jechali tak "cob co be, cob co be", te woły i ci co wieźli to nieraz zasypiali, więc co myśmy robili, dziecię? Tam nas dobrało się kilkoro. Że wybiegaliśmy do tego ostatniego samochodu, mieliśmy sito, czy jakiś garnek i ten garnek pszenicy czy tam ~~xxx~~ <sup>sita</sup> i uciekaliśmy. No więc to się udawało czasami w nocy i do 5 kg i do 10 ukraść tego zboża, to było wiele, no dzieliliśmy się z tymi jeszcze... Nigdy nie zapomnę jednej nocy, tego do końca życia nie zapomnę. Spałam z mamą, bo mama pracowała, oprócz tego, że pracowała w tej "Artieli" w dzień, to w nocy jeszcze stróżowała. Tam właśnie myśmy mieszkali przy tej "Artieli" i ona stróżowała tam właśnie tam na tym tam, tą spółdzielnię niby tam pilnowała w nocy, taki stróż. Mama pilnowała, a myśmy kradli deski urywaliśmy od płotu, żeby napalić. I ja spałam razem z mamą, właśnie w tej stróżówce, wtenczas. Więc spałam, jak mnie Pan Bóg stworzył, bo nie tego, a nakrywałam się, mama jeszcze miała taki swój stary płaszcz, palto jakieś, takie stare i tym myśmy się nakryły. I mama mnie budzi i mówi: "słuchaj, jadą, wiozą zboże". Więc ja się zerwałam, założyłam to, słychać było, bo to niedaleko i te te właśnie mówię, bo to jechała ich tam 10 wozów czasami 15, 6, różnie. Więc ja wzięłam ten płaszcz te palto stare na siebie i jakieś miałam przygotowane czy sito czy coś i biegnę. Biegnę, patrzę i na ostatni żeby wóz, bo tutaj to mogą mnie zobaczyć, nabrałam, cisza, ten spał widocznie. Więc ja mówię: co tu robić? no szkoda. Nie myśląc długo, zdjęłam ten płaszcz z siebie, te sito wysypałam, byłam jak Pan Bóg mnie stworzył, nago. Drugie sito nabrałam, znowu, nasypałam do tego płaszcza, trzecie, wreszcie mówię nie, już miałam tyle co tego. Przyniosłam te zboże, byliśmy uszczęśliwieni, bo to wtedy chyba 12 kilo ukradłam, no to było bardzo, to było wiele. Musieliśmy to szybko zakopać, wzięliśmy do czegoś i zakopaliśmy do ziemi, żeby bo kontroli, baliśmy się, w razie jakiejś kontroli, no bo skąd to zboże, zaraz by mamę znowu aresztowali, więc to było. A jeden raz z kolei, to już ostatnie na ten temat, to właśnie udał, że śpi, myśmy, ja nabrałam pamiętam, nas więcej było chyba ze trzy albo ze cztery osoby, a on jak wyskoczył i z tym batem zaczął nas gonić. Więc tam parę, wiem, że jednego chłopczyka ~~długonię~~ dopędził i dziewczynkę, mnie nie dopędził, ja miałam takie susy w nogach, że nie dopędził. I to jest to. Później co jeszcze, oprócz tych kłosów, oprócz tej kradzieży, co właśnie, zboża, to susły. Łapałam susły. Więc na polach, prawda tam szczególnie gdzie pszenica,

bo tam przeważnie w Rosji żyta nie było, tam pszenica, proso, jęczmień, to przeważnie to są, proso to ta kasza taka. Więc ja wychodziłam z domu, no ja tam też 10, 12 km, byłam taka chłopczyca, <sup>jeszcze tam</sup> ~~na~~ czasami ktoś ze mną szedł, brałam "kapkany" to się nazywały te łapki, jak na szczury, na tego, "kapkany", parę tych na ramię i szłam w rejs. I sprawdzałam, szukałam tych nór, gdzie jest nora, sprawdzałam, czy są świeże ślady. Jak są świeże ślady, to znaczy jest suseł. Nastawiałam tam "kapkan", zaznaczałam tam czymś, żeby później, żeby znaleźć to miejsce. No i czasami mi się udawało dwa, trzy, złapać, to była uczta niesamowita przecież. Przychodziłam do domu, przecież nieduże stworzonka ale już mama to zaraz oprawiała i już tam było co zjeść. To były te właśnie takie przeboje odnośnie jedzenia. Jeszcze tutaj tak, żeby dodać, przypominam, jak nieraz mieliśmy żal do mamy, miałyśmy, bo już brata nie było, brat poszedł do armii kościuszkowskiej, na ochotnika. Bo jak się tworzyła ta armia to on poszedł, więc my byłyśmy już tylko z mamą. I mama ponieważ stróżowała, więc pracowała w dzień i w nocy i czasami my już wieczorem, tam nas poukładała do spania, żebyśmy poszły spać i mama nieraz widziałyśmy, że jeden kartofel sobie upiekła i myśmy to widziały, okiem jednym spoglądałyśmy i strasznie czułyśmy żal, jak mama może zjeść bez nas? My jesteśmy takie głodne, ona nam nie da, sama zje. I dopiero później, później mama nam mówi, że ona to musiała robić, bo gdyby ona nie zjadła, no to, gdyby jej zabrakło, to by... musiała trochę prawda nam tego, ale jak na noc szła, to musiała chodź coś tam zjeść. Więc tutaj były też takie właśnie, co robił głód, jaka to była niesamowita właśnie walka o jedzenie. Teraz jeszcze jedno, bardzo ciekawa sprawa odnośnie opału. Jak myśmy zdobywali opał na zimę? Więc to jest śmieszne, ale na pewno prawdziwe, bo to ja sama, większość Polaków to robiło, więc tam w kołchozie były krowy, znaczy woły, były krowy. Więc dosłownie myśmy chodzili zbierać "kizie", a to się nazywało "kiziaki", workami zbieraliśmy tzn. no krowie łajno, odchody, wyschnięte, tzn. "kiziak", to zbieraliśmy do worków, przynosiliśmy i to się paliło. Natomiast na zimę, tego to by się porozwalało, bo to wilgoć. Chodziliśmy to jest kawał drogi, bardzo daleko nieraz chodziliśmy, zbieraliśmy dosłownie, <sup>jak</sup> krowa nie zdążyła się załatwić, to myśmy to zbieraliśmy do wiader, jakie to ciężkie, to przecież normalnie, zbieraliśmy i to rękoma normalnie się zbierało, bo jak, do wiadra i szło się nieraz parę kilometry z tymi wiadrami, niosło się. Czy przynosiło się słomę od zboża i to się wszystko ugniatało nogami i w takie foremki i suszyło się i to był opał na zimę. I tym się paliło. I to tak przez całe lato trzeba było to musiało wyschnąć i to takie formy się robiły większe jak na cegłę, coś takiego, taka forma z drewna, to się upychało, tym, wyjmowało się tą formę i to się już uformowało, tak się suszyło na słońcu i tym się paliło. Więc całe lato to jest kłosa, za przeproszeniem gówno się zbierało i całe lato zajęcie. Z tym, że zaznaczam jak chodź się na te kłosa, to myśmy konali z pragnienia, tam lata były bardzo gorące, nie było wody nigdzie. Piliśmy wodę czasami z kołchozu, gdzieś dotarliśmy do kołchozu, to z tych beczek, co była woda do kombajnów, to ona była taka tłusta, to z tego się brało i piło się, ja mówię, cudem, że myśmy przeżyli to, żeśmy się nie potruili. I tym sposobem przeżyliśmy. Aha, jeszcze właśnie, jak brat

był w armii kościuszkowskiej, dostawaliśmy listy, mama była nadal bardzo religijna, modliliśmy się zawsze za to, żeby brat szczęśliwie wrócił, modliliśmy się za ojca. Mama stale wierzyła, że ojciec przeżyje, że będzie żył. I kiedyś otrzymaliśmy list, z jakąś taką pieczęcią, wiem, że mama dostała ataku serca, a tam była pieczęć, to była pieczęć, że mamie się wydawało, że brat nie żyje, bo z czarną jakąś tego, a nie, brat był ciężko ranny i dostaliśmy zawiadomienie. No więc pamiętam wtenczas tą gorliwą modlitwę, jak bardzo modliliśmy się o powrót do zdrowia brata. Mama jeszcze bardziej przeżywała, że mało jeszcze, że tego to i brata nie ma. No ale tym sposobem jakoś przetrwaliśmy. Rok w rok powtarzało się ta nędzka, to zimno, ten głód, ten brak ubioru, te wszy, pogryzieni byliśmy przez wszy, no tragedia, głowy myliśmy w zimnej wodzie, wody się nosiło bardzo daleko, nie było mowy o cukrze, nie było mowy, no o niczym. Chleba ~~jakiegoś~~ <sup>jakiś kawałek</sup> normalnego zjeść nie było. Pamiętam dzień zakończenia wojny. Jak dowiedzieliśmy się, że już wojna się zakończyła, że będziemy wracali, że być może będziemy wracali do kraju. Trwało to jeszcze bardzo długo, bardzo dla nas, no wogóle bardzo długo. Czekaliśmy codziennie. Już mówiono, że na naszą stację podstawią sześć wagonów, już różne plotki chodziły. Z tym, że było <sup>tak</sup> dla jednych radość, że wracamy, dla drugich był płacz, bo tu nie nadmieniałam, że bardzo było agitowane, żeby przyjmować obywatelstwo ruskie. Wiem, że do nas przychodzili też, do mamy. No mama absolutnie nie chciała nawet o tym słyszeć. Dużo ludzi przyjęło te obywatelstwo, bo przyrzekli, że będzie lepiej, że dadzą lepsze zarobki i prawda, może tam trochę, trochę więcej dali ale niewiele, niewiele skorzystali. Więc przyjęli te obywatelstwo. No i czekaliśmy na te wagony i wreszcie... a ja chodziłam na te susły, to było latem, chodziłam i któregoś, i wówczas byłam z mamą na tych susłach. Z mamą byłam mama zbierała kłosa, ja te susły i złowiłam wówczas 9 susłów, nigdy takiego nie miałam powodzenia. Byłam uradowana jakbym nie wiem, jakie szczęście mnie spotkało, ja już, już człowiek nauczył się tam żyć, to znaczy już wypłakał łzy, wypłakał wszystko, no trzeba było jakoś żyć, jakoś radzić, już nie myślał nawet, marzyliśmy tylko o chlebie, o tym, żeby najeść się chleba czy czegoś. I wracamy, ja mówię "mamo, zobacz sześć wagonów", mama mówi: "córko, nie łudź się, zawsze liczysz te wagony", ja mówię: "mamo, sześć wagonów" i daję, oddaję te susły mamie i biegnę na stację. Prosto biegnę na tą stację i wiem, że jakiś tam kolejarz czy tego, mówi: "to są wagony po was", to są wagony po was", ja jeszcze nie tego, ja mówię: "po nas?", "tak, po was wagony". Biegnę do domu, mówię "mamo, po nas wagony", mama jeszcze nie wierzyła, bo to było nie tego. Nie zapomnę, że mama zamiast rzucić te susły, nie, mama jeszcze czyściła te susły, jeszcze, że, mówi: "naprawdę?". No i siostra też tam "tak, po nas", tutaj szum niesamowity, że <sup>wszyscy</sup> po nas te wagony, my nie mamy co zbierać, bo przecież nic nie mamy przy sobie. Ja miałam taki mały "czemad", co mi jedna taka dziewczynka w prezencie dała tzn. taką małą skrzyneczkę, ja tam miałam swoje, swoje, ja nie wiem "brylanty" niby parę kamieni tam jakieś takie tego, no co tam uważałam. Ona mi, jak pojedę do Polski, to żeby o niej pamiętać, dała mi taką skrzyneczkę malutką. I mama jeszcze te czyści susły, że na drogę, jeśli już jedziemy, to żeby na drogę coś tego. I prawda, a my już tak jak

stoimy, zostawiliśmy, biegniemy, zajmujemy miejsce. No i prawda, że po nas te wagony. To był właśnie dzień takiej, no nie wiem euforii, takiej radości. Biegniemy na ten dworzec, pakujemy się rade wagonów, nie czekamy na mamę, już po tego. A to było nie tak daleko, siostra tylko została, ta malutka. My z siostrą tam i zajęliśmy już miejsce, no przyszła mama, jeszcze kilka godzin, bardzo szybko, to było chyba dwie godziny wystarczyło, że Polacy wszyscy już wiedzieli o tym. Z tym, że tam był zamiast radości, to było coś makabrycznego. To było nie do opisania. Ci ludzie, którzy przyjęli obywatelstwo. Jechała córka zostawała matka i odwrotnie. Lub całe rodziny zostawały. No był taki straszny płacz że ludzie się chcieli rzucać pod pociąg, no ale musieli zostać, no przyjęli obywatelstwo, nie było rady. Wyruszyliśmy w tą podróż do Polski. Było głodno, było chłodno ale nas to nic nie interesowało. Wagony były otwarte, towarowe, ale były otwarte. Myśmy się już opierali o te poręcze. Oglądaliśmy, żegnaliśmy te pola, to wszystko już, byle dalej. Zatrzymywaliśmy się na stacjach nikt nas nie pilnował, bo nie bali się, że ktoś zostanie, bo tak jak jechaliśmy w tamtą stronę to z karabinami pilnowali, żeby ktoś nie uciekł, a tu już nas nie pilnowali.

No więc właśnie jak mówię to jeszcze taką przygodę to jak wracaliśmy już i zatrzymaliśmy się na jednej stacji, bo tam gdzie ja byłam to był Kazachstan, więc tam było dużo Kozaków i Kirkizów bardzo dużo. Początkowo żeśmy się ich bali, a później, ale ja do końca się ich bałam. I przypominam zatrzymaliśmy się na jakiejś tam stacji i powiedzieli, że tam mamy postój 5-cio-godzinny. Nie wiem dlaczego, tory widocznie były zajęte, 5 godzin. Więc ja poszłam sobie trochę "w rejs", już byłam taka duża dziewczynka przecież, z tym, że nie chwaląc się byłam bardzo ładną dziewczynką. Byłam blondynką, jasną, długie włosy, duże, wiem, że

"balszogłazajami" nazywali, że miałam bardzo duże niby oczy. No i przyszedłam, tam mieszkali Kirkizi i tak się przyglądałam tym Kirkizom tym ich tych czapeczkach takich tego i oni mnie zaprosili do swego domu. A oni taki dom mieli jak namioty, coś takiego JA się w pierwszej chwili bałam ale oni tak tego. No i mnie nie ma, nie ma, nie ma, mama wystraszona, szukać, dziecko zginęło, całą wojnę prze tego a teraz dziecka nie ma. A oni mnie wzięli do tego i tak te włosy mi to, przeglądają się, to tego tam kozie nie kozie... No i tam u tych Kirkizów mama mnie znalazła, wystraszona bo dziecko jej porwali, no dziecka nie porwali. No i dalsza podróż. Jedziemy, jedziemy, a byliśmy głodni.

Pytanie: " A jeszcze nie powiedziała pani, bo te włosy tam coś..."  
Tak no więc tam włosami moimi się zachwycali i tam to po prostu dla nich to było , rozmawiali ze mną, że jak to się robi, żeby mieć takie włosy, że to, że tego, że takie piękne dzieci, że żeby tam zostać, że byłabym ich księżniczką, jakby tam tego, że byłabym, dosłownie namawiali żeby zostać, żeby nie wracać do pociągu. Że ja jak tu zostanę to będę księżniczką. No takie. No i mama mnie odnalazła, no tam wróciłam do domu, oni tam mamie dali coś do jedzenia, żeby dla mnie znaczy jakieś tam placki ich. No więc uroczystość, ale nie byliśmy sami w pociągu więc mama była taka, że zawsze się dzieliła z dziećmi tzn. szczególnie żeby dzieci podzielić innych też. Zjedliśmy, jechaliśmy dalej, też jechało się przecież , też jechaliśmy 30 dni, byliśmy bardzo głodni i znowu zatrzymaliśmy się na stacji. Bo tak stał pociąg po drugiej stronie, też wracali Żydzi, wracali tym pociągiem. No i znowu mówią, że mamy postój, postój mamy dłuższy więc ja, głodni byliśmy i kilka osób powiedzieli, że tam gdzieś jest targowisko jakieś tego, mówimy zobaczymy co tam jest. A w zasadzie biegliśmy , żeby tam coś ukraść do jedze-



nia.No i polecieliśmy na te tam,na te targowisko i tam sprzedawali "lepioszki" to się tam tak nazywają"lepioszki",tam piekli też takie z mąki coś takiego i sprzedawali,bo przecież tam wszyscy byli głodni.No i nam się udało trochę tam ukraść, bo przecież nikt by nam tam nie dał.Ale biegniemy do pociągu - nie ma naszego pociągu.Pociąg uciekł.Więc płacz niesamowity, ale tam Żydzi właśnie mówię drugim pociągiem jechali Żydzi, więc oni ojej,żebyśmy nie rozpaczali,żeby do ich pociągu, zabrali nas i my tym pociągiem dopędziliśmy nasz pociąg,na drugiej stacji.I znowu była rozpacz okropna i już mnie mama nie wypuściła na krok z wagonu,bo mówi,że na koniec zostanę.

No i mówię radosne,głodno,chłodno ale radośnie,znaczy to już nie było chłodno,było ciepło bo myśmy wracali w czerwcu i dojechaliśmy do granicy polskiej.Proszę pani,gdyby mi pani dzisiaj głowę urwała,gdzie myśmy przekroczyli granicę nie wiem,nie wiem. Gdzieś tu,bo przywieźli nas później do Gryfic.Ale to póki przywieźli nas do Gryfic,jak myśmy przekroczyli granicę,już słupy polskie,jesteśmy w Polsce,więc witają nas chlebem i solą.

I tu był moment niesamowity.Chleb,biały chleb.Stały takie samochody wojskowe,mnie się wydawały,że to są piece do chleba, a to były samochody,gdzieś dowozili ten chleb,ten chleb był jeszcze trochę...Myśmy się ustawiali w kolejce i nam dawali po bochenku chleba.Więc ten chleb był jasny no taki jak chleb,no to było nie tego.Ja wzięłam bochenek chleba,tam wojskowi wydawali i do wagonu pobiegłam,zaniosłam ten i znowu w kolejkę, drugi,trzeci chyba czwarty raz stanęłam w kolejkę,bo mi się wydawało,że no ja muszę tego chleba no nie wiem ile,bo przecież będziemy nadal głodni.No i wreszcie tam jakiś oficer,bo tam stał obok oficer,on widocznie zauważył mnie,mówi:"dziecko,już nigdy nie będziecie głodni".I wtenczas sam do naszego wagonu

doniósł nam chyba z 5 bochenków chleba, mówi: "dziecko, już nigdy nie będziecie głodni". No i pamiętam, jak właśnie przekroczyliśmy już tą granicę, jak mama uklękła z nami, mówi: "tylko żeby nam nie zabrakło chleba i kartofli, nic więcej nie chcę". No więc przekroczyliśmy tą granicę Polski, stąd, staliśmy później, przywieźli nas do Piły. Więc myśmy tu gdzieś przekraczali, nie wiem, tam gdzieś. Staliśmy całą noc w Pile. Pamiętam wrażenie okropne, bo Piła była bardzo zniszczona, dosłownie same gruzy, myśmy w nocy tam stali, więc nie wychodziliśmy wogóle bo jeszcze tliło się gdzie/niegdzie i to było no, same gruzy. Później widocznie nastąpił podział, gdzie-kogo. I nas przywieźli do Gryfic, do PUR-u. Do Gryfic . I tam, a brat w międzyczasie, już wojna się skończyła, więc wyszedł z tego wojska i dowiadywał się, kiedy będą z Kazachstanu, z Pawłodarskiej obłasti, kiedy będą szły, te jak oni nazywali "szałony" pociąg i oczekiwał na i dowiedział się, że nas przywiozą do Gryfic i oczekiwał nas. Z tym, że właśnie tutaj chciałam zaznaczyć, jak kto przeszedł tragedię, to nigdy nie myślał o sprawach jakichś majątkowych, bo ci, ja mówię ci tacy, którzy nie walczyli, nie przeżyli, to tylko później szabrowali, zajmowali najlepsze domy, wszystko. Brat natomiast czekał na nas tak jak stoi, miał tyle czasu, tyle okazji, żeby zająć tam mieszkanie dla nas, przygotować, to on stał w tym mundurze wojskowym, na dworcu nas spotykał z wielką radością. My też o niczym nie wiedzieliśmy, mama była najszczęśliwsza, że on żyje, że my wszyscy żyjemy, że tylko ojca na razie nie tego. No i też tak zostaliśmy i trzeba było szukać mieszkania tzn. dali nam później jakieś tam mieszkanie, z tym, że mieszkanie było takie, no później można było powiedzieć, że no bardzo słabe, ale dla nas to był luksus, po tym co przeszliśmy. No i ta makabra taka najgorsza się skończyła, tzn. wróciliśmy do kraju, zaczęliśmy jak wszyscy żyć, tzn.

nie jak wszyscy, bo później dopiero zauważyliśmy, że nadal żyli bardzo dobrze ci, jak to nazywali "szabrownicy", co zagarnęli wszystko, co tego. Tak jak mój brat opowiadał, mówi do nas: "mamo, wybacz, że nie zająłem nawet mieszkania, niczego, ja nadal nie wierzę, że można cokolwiek zająć bezprawnie, widziałem, jak żołnierze niektórzy, jak zdobywaliśmy miasta, to rabowali u jubilera, nie zdążył zrabować, już nie żył. Nie w głowie mi było, chciałem tylko przeżyć". Z tym, że nie było nam też lekko, jak wróciliśmy. Było bardzo ciężko, bo mama zaczęła chorować już później. Więc zaczęła pracować w Ośrodku Zdrowia, tam prowadziła takie administracyjne sprawy, ale też zarobki były takie groszowe, a czwórka dzieci. No więc brat też tam zaczął gdzieś tam już trochę pracować, no siostra stale chorowała. Więc mieliśmy już ten chleb, co pragnęliśmy ale może pani nie uwierzyć ale długo jeszcze chleb był w domu wydzielany, jeszcze mama wydzielała. Tak tzn. nie było tak, że ja mogłam sobie pójść i ukroić chleba ile chcę, tylko przypuścimy na śniadanie dostałam kromkę czy dwie z dżemem bez masła, na obiad zupę kartoflanka i do tego mógł być kawałek chleba, to był luksus dla nas, to prawda ale właśnie, że to nie było, że było od razu raj, wszystko, nie. Bo to mówię, zarabiano się grosze po wojnie, jak to nic nie było, jak myśmy przyjechali bez niczego, bez ubrania, bez czegoś. I co było jeszcze dla nas przykre, niby był, niby jak mówię byliśmy szczęśliwi, ale jakie odczuwało się też upodlenie takie, ba jak pamiętam, rozpoczęłam naukę, bo w Rosji do szkoły nie chodziłam jako do takiej, uczyliśmy się, mama nas uczyła w domu i tam organizowane były, taka niby była szkółka ruska, tam była ale po rusku, w domu mama trochę nas uczyła po polsku tzn. szkółka, po pracy się przychodziło na te parę godzin. I teraz jak rozpoczęłam naukę w Polsce, więc wiadomo, mówiłam makaronizmem, pisałam makaronizmem,

trochę liter polskich, trochę tego, więc to było takie, nabijano się z nas, po drugie chodziłam na przykład ubrana bardzo skromnie, nawet mam, pamiętam, kiedyś przeglądałam swoje zdjęcie ze szkoły, miałam kretonową sukieneczkę i w niej stale chodziłam w takiej sukieneczce, bo mamie nie stać było. Dosłownie nas przezywano, no było dużo dzieci zamożnych i to i ja do dzisiaj jestem dlatego bardzo wrażliwa, nie lubię jak w szkole, zawsze mówię, że w szkole powinny być mundurki obowiązkowe, żeby nie było tego, że ty jesteś lepszy ty jesteś gorszy. Po drugie, ponieważ mama chorowała więc myśmy musieli jakoś się starać pomóc utrzymać sami i ja np. musiałam handlować, dosłownie do tego stopnia że w piekarni piekarz wywoził na targ pieczywo i ja sprzedawałam i za to, bułki i chleb, i ja za to coś tam miałam, ale opuszczałam szkołę. Więc nieraz w szkole "o, handlara, handlara", ale to przecież musiałam, żeby nie, więc przeżywaliśmy to my dziś jeszcze z siostrą nieraz wspominamy, bo już siostra też handlowała i często opuszczałyśmy szkołę. Ale ja byłam niby bardzo zdolna, bo szybko wyszłam z tego wszystkiego i jakoś przebrnęłam tą 7 klasę, a potem już <sup>pokazałam</sup> że jednak potrafię być Polką i potrafię po polsku i czytać i pisać dobrze, no i najlepszy dowód jak już nawet pojechałam do Szczecina. Bo z Gryfic dosłownie uciekłam i może to jest śmieszne, może to już nawet paniąmniej interesuje, ale tak prywatnie. Wiem, że w Gryficach musiałam nadal pracować tzn. uczyć się i pracować, a wiedziałam, że ja, moja edukacja później się skończy na niczym, kompletnie. A stale pamiętałam słowa ojca, że uczyć się, uczyć się, uczyć się. A mama już tak nie nagabywała bo już nie miała zdrowia, nie miała siły. I ja wiedziałam, że ja muszę się sama utrzymać, ale ja muszę się uczyć. Już mając 13 lat uciekłam sama bez zdania mamy, bo mama by mnie nie puściła do Szczecina z Gryfic, z koleżanką taką uciekłyśmy. Zamieszkałyśmy, jej siostra tam miesz-

kała, ale ona mieszkała w jednym pokoju, a drugi pokój to był taki bez szyb, bez niczego i myśmy w tym pokoju zamieszkałyśmy. No nam nie było straszne, mnie nie było straszne no bo tego. Latem, pamiętam, że nie miałyśmy pieniędzy, nie miałyśmy nic, przez całe lato to jadłyśmy wiśniową zupę z makaronem, bo makaron był nie drogi a wiśnie jakoś się tam zdobyło. Ale dostałam się, zdałam egzamin do Średniej szkoły, dostałam się do bursy. To nie był internat, to była bursa. Pamiętam takiej willowej okolicy na ulicy Moniuszki w Szczecinie w tej bursie mieszkałam. Ja mówię że jak człowiek musi, to wiele zrobi. Tak się uczyłam, że byłam piątkową, pierwszą uczennicą i dostałam dwa stypendium wobec tego. Jedno stypendium dostałam z powiatu, tam gdzie mieszkałam w Gryficach, a drugie stypendium dostałam z bursy, znaczy tu ze Szczacina, z tej szkoły. No i tym sposobem mogłam opłacić bursę, te stypendium szło na bursę, na opłacenie bursy, a to jedno, które miałam to mogłam pomóc mamie trochę i mnie wystarczyło na ubranie czy tego. No i później dostałam się do handlowej i to nawet zdawałam od razu może byłam trochę zarozumiała, że bo to była trzy klasy, potem dwie klasy tak było, że ja z drugiej klasy od razu zdawałam do czwartej, komisyjnie. Byłam taka uparta i zdałam. Zdałam bo chciałam jak najszybciej skończyć, bo wiedziałam, że muszę pomagać siostrze. Zdałam, więc ja kończyłam ekonomiczne, z tym, że wydział bankowy nō i skończyłam tą maturę z wynikiem bardzo dobrym, ale na tym ta edukacja moja się musiała skończyć, bo siostra poszła do średniej szkoły, ja ją też ściągnęłam do Szczecina, musiałam jej pomagać, tzn. musiałam pójść do pracy, żeby ona mogła się uczyć, żeby mama te grosze co zarabia, żeby już nie odczuwała tego, więc tam trochę mama dawała trochę ja. Poszłam w Szczecinie pracowałam w Urzędzie Morskim, siostra się uczyła. Później poznałam męża. Mąż jest o 10 lat prawie starszy ode mnie, ale to chyba dlatego, że

on był dla mnie tak bardzo dobry, tak bardzo wyrozumiały, w pracy go poznałam wówczas, ja pracowałam w Urzędzie Morskim mąż był kapitanem portu. I chyba ten brak ojca, po prostu on mi taką opiekę ojcowską dał, nie jakies, po prostu opiekował się mną, dosłownie się mną opiekował. Jak zachorowałam, bo ja później też zachorowałam to w szpitalu mąż stale właśnie, ten pan przychodził, przynosił mi pomarańcze i różne, powiedział, że tak jak bym była sierotą, nikogo tam nie miałam. No i tak wyszłam za mąż, później pracowałam, aha, przyjechalismy tutaj, na stażu ja ~~tutaj~~ jeszcze na stażu, to więc mnie tutaj skierowali, mąż też tutaj przyjechał. No i ~~jak~~ <sup>nawet</sup> mi się w pracy powiodło, w 60 roku już zajmowałam kierownicze stanowisko, w 63r. już byłam naczelnikiem wydziału, później kończyłam studia w Poznaniu, pracowałam, no i jakoś tak o. Mamy dwóch synów, wspaniałych synów mamy. Do dzisiaj wspaniałych synów, wspaniałe synowe, wspaniałych czwórka wnuków, nie narzekam na synowe, synów mam naprawdę takich. No syn pracuje teraz w Paryżu bo tu nie miał pracy, co drugi dzień dzwoni, chodząc "jak się czujecie", chociaż dwa słowa, chociaż tego. Ten syn, który jest tutaj też stale zagłada, to na grzyby podskoczy, to tego, dobrze im się powodzi i synowe też no naprawdę są takie czułe, no w tygodniu dwa razy w tygodniu to są. Także taka jest rodzina, także nie możemy powiedzieć, że jesteśmy sami. My nie mamy, nam nie powodzi się źle, bo ja mam wysoką emeryturę, bo zarobki miałam dobre, mąż też ma wysoką, bo mąż ma wogóle inwalidztwo, ma dobrą. No i jakoś tak się żyje, ale tego co się przeżyło, co się przeszło to nie zapomnę nigdy i nigdy nikomu bym nie życzyła i czasami jest tak przykro jak my dostajemy te po czterysta parę tysięcy, te kombatanckie, że czasami słyszymy: "a za co?" "To jest nic." "Za co?" "Przecież chyba to jest za to, że myśmy płacili za nie swoje grzechy tak? Przecież byliśmy dziećmi. Przecież nasze pokolenie to ani dzieciństwa, ani młodości, nie

było nic. A kto tego nie przeżył to nie zrozumie. Przecież kto by dzisiaj powiedział, przecież mam wnuczkę, ma 9 rok, Boże, żeby jej się powiedziało, żeby coś, to tylko uczyć się, uczyć się i uczyć się, a myśmy nawet jak wróciliśmy z tej Rosji to nie mogliśmy się uczyć, tylko trzeba było pracować i uczyć się, nie można było. Więc tego nikt nie chce zrozumieć, a tą katorgę co myśmy, to było 6 lat to nie było 6 miesięcy. To było 6 bitych lat. I za co? I na tym bym skończyła, to wszystko.

No więc tutaj nie nadmieniałam, że po hymnie, jak nas tutaj wywozili, takim gromkim śpiewem wszyscy odśpiewali "Jeszcze Polska nie zginęła", to został przez mądrych ludzi w zasadzie ułożony wierszyk-piosenka na ten dzień wywozu, może właśnie ja tak powiem te słowa:

Trzynastego kwietnia będziemy pamiętali,  
Gdy przyszli Sowieci, jak my jeszcze spali,  
I nasze dzieci na wozy wsadzili,  
Na główną stację nas odprowadzili.  
O straszna chwila, straszna minuta,  
Gdy ona była cała łzami zalana,  
Nie dosyć, że Polskę na pół rozerwali  
Jeszcze Polaków na Sybir wygnali.

To było właśnie takie motto tego dnia i powtarzali to w wagonach i starsi i nauczyli, rodzice nauczyli dzieci. I to chyba mimo 50-cioparu lat nie zapomina się, czyli to nie jest prawdą, że nieraz mówi się, że dobre rzeczy długo się pamięta, a złe się zapomina. Nieprawda. Nieprawda, bo te rzeczy to ja od chwili, kiedy właśnie ojca aresztowali, jak go sponiewierali wywożąc i później nas jak wywieźli do chwili powrotu, każdy dzień mogłabym przeanalizować i pamiętam to dokładnie i chyba do końca moich dni nie zapomnę. Opowiadałam to dzieciom, wnuki też lubią,

żeby opowiadać, ale nikomu nie opowiedziałam dokładnie, bo nigdy nie mogłam, zresztą dzieci też proszą, żeby spisać to wszystko, żeby pamiętnik, no nie wiem. Zabierałam się do tego ale jak mówię, za każdym razem przeżywam, przeżywam bardzo. Tak jak tutaj też nadmieniałam, mieliśmy tą swoją piosenkę w domu dziecka, w języku ruskim, może też powiem, to kto rozumie, to tego. Więc polskie dzieci śpiewaliśmy:

My bezprizornyje rebiata

My nie baimsa nikawo

Puskaj szczęśliwyj i śmiejujsa

Nam bezpriezornym wsiorawno.

To znaczy, to mniej więcej w języku polskim:

My biedne sieroty

My się nie boimy nikogo

Niech ~~się~~ ludzie szczęśliwi się śmieją i dzieci szczęśliwi niech się śmieją  
Nam sierotom jest wszystko jedno.

Więc to też, bo wiedzieliśmy, że nikt za nami się nie ujmie, nie było ani starszych, ani tak nawet nauczyli dzieci te, które z nami przebywały, sieroty, żeby od nas stronili i trzymaliśmy się w swoim gronie.

Pytanie: "A czy w tym domu dziecka ktoś się wami opiekował?"

To znaczy opiekował się, tam była, były tak jak nas tam było razem 80 parę dzieci, to były tylko dwie kobiety. To było wszystko. Musieliśmy wszystko zupełnie sami robić. Tam były dzieci od 6 lat do 12 lat, także tam nie było jakiegokolwiek, tam może tylko była taka opieka, jak ktoś już naprawdę był bardzo chory, umierał, to trzeba było coś z nim zrobić. Ale były przypadki śmierci. I to także naprawdę, po prostu dzieci leżały, razem spałyśmy, mówię tam były prycze i przypuszczamy na 15 czy po jednej stronie spało dzieci. Więc ja tutaj kiedyś właśnie nawet opowia-



dałam i się zawsze mówię, ~~żaxja~~ do dzisiaj, że ja, ja musiałam też mieć gorączkę, musiało mi się też przywidzieć, bo dziewczynka przy mnie zmarła chyba następna, ja leżałam, ~~patemxnastępną~~ później jeszcze jedno, później za mną jeszcze dziewczynka więc w nocy zmarła i ja cały czas mówię, że ja widziałam jak śmierć szła, bo ja dosłownie się obudziłam w nocy i widziałam tak jakby biała postać, ale to musiało być jakieś przywidzenie mogłam też być chora, nie pamiętam, czy ja byłam chora wówczas czy ja czy tego. I cały czas mówiłam do wnuków, oni czasami, że widziałam, jak ta mgła czy cień się zatrzymał tam przy tej przycy, ale mówię to mogło być przywidzenie tylko, że fakt autentyczny, że rano to ta dziewczynka nie żyła już. Więc jaka tam była opieka? No więc, lekarza nie było, nie tego, każdy, kto się miał martwić, jak dzieci tych było dużo, a jeść nie było co więc chyba tym się nikt nie przejmował. Silne organizmy jakies to pżetrwały.

Zwójko.